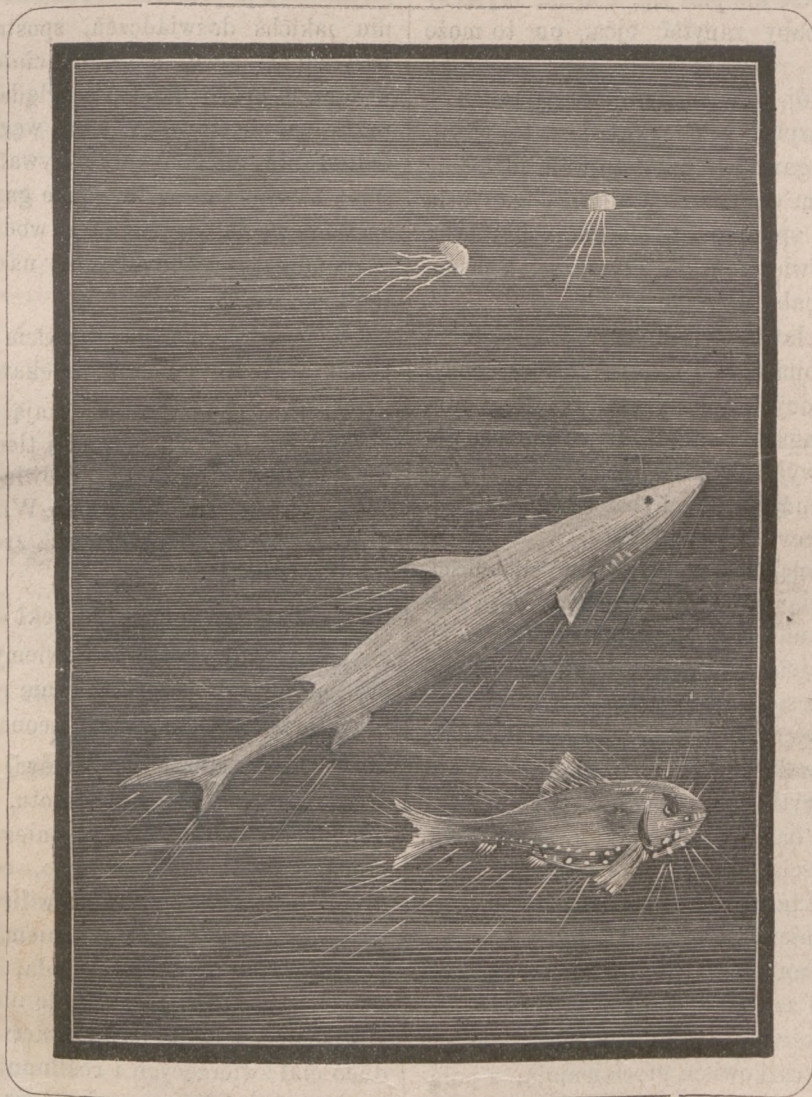
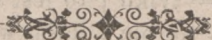


WIECZORY RODZINNE,

CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Rybki świecące.

RYBKI ŚWIECĄCE.

POGADANKA NAUKOWA.

— Patrzo, Leonku — mówiła Antosia — co tu za śliczności na tym obrazku; rybki świecące,

niby ogromne robaczki świętojańskie. Mój Boże, jakie też to dziwne rzeczy są na świecie.

— W morzu jest mnóstwo takich świecących zwierzątek, większych i mniejszych — rzekł Leon — w podróżach często opisują, jak to ładnie

wygląda, gdy morze całe wieczorem zaczyna świecić, jak gdyby płonęło ogniem. Przekonano się, że to różne drobniuteńkie stworzenia, drobniejsze czasem od naszych robaczek świętojańskich, ten piękny blask sprawiają w wodzie.

— Jakbym ja chciała to zobaczyć. Dziwna rzecz jednak, że te zwierzątka się nie palą od tego ognia.

— Ba! jakże mają się spalić w wodzie? — zauważył Leonek.

— Prawda — odrzekła siostrzyczka — tylko widzisz — dodała po chwili namysłu — to nie racya, bo przecież robaczek świętojański nie w wodzie świeci, a także nie pali się, chociaż błyszczą tak jasno. Trzebaby zapytać ojca, co to może znaczyć.

— Dajże pokój, widzisz, że ojciec czyta...

— Już skończyłem — odezwał się w tej chwili ojciec, składając gazetę — o cóż to wam idzie?

— Chciałabym wiedzieć, ojczulku — zapytała Antosia — jakim sposobem te śliczne rybki świecące i robaczki świętojańskie błyszczą tak jasno, a jednak się nie palą.

— Nie tak to łatwo wytłómaczyć, jak się tobie zdaje — mówił ojciec — zjawisko fosforescencji nawet i dla uczonych było przez czas długi nierozstrzygniętą zagadką, a i dziś nie można powiedzieć, aby je wyjaśnili zupełnie.

— Fosforescencya? to chyba od fosforu tak się nazywa, nieprawdaż, ojczulku?

— Rzeczywiście, fosfor świeci w ciemności, białe obłoczki wciąż się nad nim unoszą, a za najlżejszém rozgrzaniem, na przykład za potarciem, wybucha płomieniem. Nieraz już mówiliśmy o tém, co to jest palenie się ciał, to jest ogień.

— O, ja to wiem doskonale — rzekł Leonek, rad zawsze pochwalić się swojemi wiadomościami — mogę nawet wytłómaczyć Antosi...

— Dziękuję, bardzo dziękuję — przerwała siostrzyczka z żywością — ja także to wiem oddawna. W powietrzu jest taki gaz, nazywa się tlen, a różne rzeczy, szczególnie węgiel, mają jakiś pęd szczególny do tego tlenu i jak się z nim tylko zczepią, z wielkiej radości zapewne, ogniem buchają.

— Dodaj jeszcze — rzekł Leonek — że się przytém te ciała całkowicie przemieniają, z połączenia węgla z tlenem wywiązuje się gaz inny...

— Kwas węglany!

— Otóż nie, nie kwas węglany, ale dwutlenek węgla — wołał Leonek — pan profesor nam mówił na lekcji, że to się tak powinno nazywać.

— Cóż to znów za fantazya? — mówiła Antosia — dla czego nie ma być kwas węglany?

— Albo ja wiem? pan profesor tego nie powiedział — rzekł Leonek, wzruszając ramionami.

— Przyczyna jest bardzo prosta — powiedział ojciec z uśmiechem — panowie chemicy spostrzegli, że nazwa kwasu, dawniej mu nadana, nie jest właściwa dla tego gazu. Każdy kwas musi mieć w sobie choć trochę wodoru, gazu znajdującego się w wodzie. Tymczasem tak zwany kwas węglany powstaje ze spalania węgla, zawiera w sobie tylko węgiel i tlen, bez najmniejszej odrobiny wodoru. Nie bardzo jednak na to zważano, dla tego głównie, że prawdziwego kwasu węglanego, to jest takiego ciała, któreby miało przy tej samej ilości węgla i tlenu potrzebną ilość wodoru, nie znajdowano nigdzie w przyrodzie. Dopiero w zeszłym roku p. profesor Wróblewski, przy wykonaniu jakichś doświadczeń, spostrzegł w swoim przyrządzie nowe, nieznane ciało, które się tam utworzyło przypadkiem, a oglądając je uważnie, przekonał się, że to był kwas węglany prawdziwy. Odtąd nie chciano już nazywać fałszywego tą samą nazwą i teraz w nauce gaz, powstający ze spalania węgla, musujący w wodzie sodowej, wywiązujący się z oddychania, nazywany jest dwutlenkiem węgla.

— A dla czego dwutlenkiem a nie jednotlenkiem? — zapytała wiecznie ciekawa Antosia.

— Bo jest gaz inny, mający trochę więcej w sobie węgla a trochę mniej tlenu, ten się nazywa tlenkiem, w pospolitej mowie czadem.

— Czy to ten sam pan Wróblewski odkrył kwas węglany, co z powietrza zrobił kropelki? — pytała Antosia.

— Tak, ten sam — odrzekł ojciec.

— Ale my nigdy nie dowiemy się nic o rybach świecących, jak Antosia zacznie rozpytywać o tyle innych rzeczy — zauważył Leonek.

— Masz słusność — mówił ojciec — odbiegliśmy zupełnie od przedmiotu, ale trzeba było wspomnieć i o fosforze, i o paleniu, bo inaczej nie zrozumielibyście dobrze tego, co mam do powiedzenia o fosforescencji. Mówiliśmy więc, że świecenie fosforu jest także paleniem, tylko powolnóm, bo fosfor nie potrzebuje ciepła, aby się z tlenem łączyć, tak gwałtowny ma do niego pociąg, a jak powiadają chemicy, powinowactwo. Jest bardzo dużo ciał zwierzęcych i roślinnych, które świecą bladym światłem w ciemności, nie rozgrzewając się przytém wcale. Takie światło, nie wywiązujące ciepła, nazywają ogólnie fosforescencją.

— Ojczulek powiada o ciałach zwierzęcych i roślinnych — rzekła Antosia — co do zwierzęcych, wiem o robaczkach świętojańskich, sprężykach amerykańskich, co to je krajowcy latarenkami nazywają, o tych wodnych żyłkach małutkich, a tu na obrazku są duże ryby świecące;

ale nigdy nie słyszałam, żeby były także błyszczące rośliny.

— A czy widziałaś kiedy próchno?

— O, i nieraz.

— To światło na próchniejącym drzewie wydają drobnieńkie grzybki, które na niem wyrastają. Jest bardzo dużo grzybów, mchów, porostów i innych roślin, które świecą w ciemności fosforycznym światłem, tak samo, jak świętojańskie robaczki. Do niedawna jeszcze nie umiano tego wytłumaczyć, domyślano się tylko, że zjawisko to musi być także powolnym bardzo utlenianiem, to jest paleniem. Przed kilku laty dopiero uczony rodak nasz, profesor Radziszewski ze Lwowa, rozjaśnił tę zagadkę. Urządził on w pracowni swojej doświadczenia z różnymi cieczami i spostrzegł niespodzianie, że jedna z tych cieczy wydawała w ciemności prześliczne światło fosforyczne.

— A cóż to za ciecz była, ojczulku?

— Ty zawsze, córeczko, chciałyś każdą rzecz zbadać do gruntu, ale nie możesz jeszcze wszystkiego zrozumieć, pomimo najlepszych chęci. W cieczy tej była rozpuszczona lofina, ciało, które się wydobywa, za pomocą różnych manipulacji chemicznych, z olejku z gorzkich migdałów, a oprócz lofiny trochę gryzącego potażu. Trzeba wiedzieć, że lofina, tak jak wszystkie ciała pochodzenia zwierzęcego lub roślinnego, zawiera w sobie węgiel. Otóż pan Radziszewski przekonał się, że świecenie powstawało jedynie w skutek powolnego utleniania, to jest łączenia się węgla z tlenem powietrza, podobnie, jak przy paleniu. Nietylko lofina, ale i wiele innych substancji tej samej natury, przedstawia podobne zjawisko fosforescencji, a zawsze wtenczas tylko, gdy ciała te są rozpuszczone razem z potażem lub innym ciałem alkalicznym, to jest tej samej znów natury co potaż. Można by ztąd wnosić, że tlen powietrza wtenczas tylko bez pomocy ciepła może się łączyć z węglem i blask fosforyczny wywoływać, jeśli dwa ciała jednocześnie go do siebie wabią, potaż go ciągnie w swoją stronę, lofina w swoją, a tlen rozzerwany, rozszarpany, większą nabiera siły, rzuca się też z pośpiechem na węgiel i blask w nim roznica, chociaż rozgrzać go nie może. Wszystko to jednak są domysły, których wy jeszcze zrozumieć dobrze nie potraficie, jedno tylko nie ulega wątpliwości, że światło fosforyczne tych cieczy powstaje w skutek utleniania, bo gaśnie natychmiast, gdy zabraknie w fiaszeczce powietrza. A teraz już z łatwością można sobie wyobrazić, że toż samo odbywać się musi w tkankach zwierząt i roślin, które przedstawiają zjawisko fosforescencji. Zaczodzą tam różne chemiczne przemiany, a w pe-

wnych warunkach znajdują się obok siebie jakieś dwie substancje, jedna podobna do lofiny, druga do potażu i one na tlen powietrza działają w taki sposób, że bez rozgrzania z węglem się łączy i blade światło z niego wydobywa.

— A proszę ojca — zapytał Leonek — co tam jest w tej masie samoświecącej, co to tak ładnie błyszczy na pudełkach od zapalek?

— Pewnie także lofina z potażem — odrzekła Antosia.

— Wcale nie — mówił ojciec — światło to nazywa się także fosforescencją, bo rzeczywiście niczem się nie różni od świecenia robaczek świętojańskich i próchna, a jednak z odmienną przyczyny powstaje. Może wy o tem nie wiecie, że takie pudełko od zapalek traci powoli własność świecenia w ciemności, jeśli jest przez czas dłuższy trzymane w zamkniętej szufladzie, gdzie światło słoneczne nie dochodzi. Ale gdy je postavimy na oknie, gdzie promienie światła przez cały dzień na nie padają, znowu zaczyna świecić tak ładnie, jak wprzód.

— To zabawna rzecz! — wołała Antosia — można by myśleć, że nachwytało sobie zapas światła i w nocy powoli je z siebie wypuszcza.

— Rzeczywiście wygląda to zupełnie na coś podobnego. Najpierw podobno spostrzeżono tę osobliwą własność pochłaniania i wydzielania światła w brylantach. Taki piękny kamyczek, gdy jest w dzień wystawiony na światło słoneczne, potem w nocy błyszczy tak zupełnie, jak próchno. A jednak nie jest to wcale powolne palenie, ani żadne działanie chemiczne, w tym brylancie nic nie ubywa, nic się nie przemienia.

— A więc jakimże sposobem świeci? Czy naprawdę połyka światło słoneczne?

— Trudno to bardzo wytłumaczyć. Trzeba by najprzód zrozumieć, co to jest światło. Nieraz już o tem opowiadano w „Wieczorach Rodzinnych”, może pamiętacie.

— Pamiętamy, pamiętamy, ojczulku — mówiła Antosia — to jakiś płyn niezmiernie subtelny, subtelniejszy daleko od powietrza, nazywa się eter, rozlany jest wszędzie, wciska się do każdego ciała; on to, ten dziwny, niewidzialny eter, wprawiony w jakieś osobliwsze drganie, płynie nakształt fali, uderza o nasze oczy i wtenczas widzimy. Każda rzecz jasna, błyszcząca, tańczy z szaloną szybkością w tych falach eterowych.

— Nie powiem, żeby to było bardzo dokładne określenie, ale widzę, że rozumiesz o co idzie. Oto wyobraź sobie, że promienie słoneczne, które nie są czem innym, tylko falami drgającego eteru, udzielają niektórym ciałom tego ruchu swojego na czas dłuższy, a ciała te, nawet i potem, gdy już

przesną tonąć w tych falach światła, same drgają w podobny sposób, wraz z eterem, który je oblewa i blask fosforyczny wydzielają z siebie w ciemności. Takie są domysły uczonych, a fosforescencya tego rodzaju nazywa się fosforescencyą przez insolacyą, dla odróżnienia od owego świecenia próchna i robaczków świętojańskich, które już daleko dokładniej jest wyjaśnione. Masa samoświecąca na pudełkach od zapalek składa się z takich substancyj, które mają własność pochłaniania światła i wydają blask fosforyczny przez insolacyą. Są także substancje, zwane sztucznymi fosforami, które chłoną promienie pewnej barwy, a potem błyszczą światłem czerwonym, zielonym, błękitnym.

— Jak to dobrze, że ja się ojca zapytałam o te rybki — mówiła Antosia — najpierw nasłuchałam się różnych ciekawych rzeczy o fosforescencyi, a potem dowiedziałam się o znakomitym polskim uczonym, co takie ważne zrobił odkrycie. Muszę sobie dobrze zapamiętać nazwiska tych panów: pan profesor Wróblewski z Krakowa i pan profesor Radziszewski ze Lwowa.

WAŻNA PRAWDA.

— Daj, daj, mamol! — Zygmunt woła,
Z matczynego rwąc się łona,
Rączką sięga, ile zdoła,
Do smacznego winogrona.

Dobra matka już dawała,
Wtém surowszy ojciec powie:

— Nie daj! niech dziecina mała

Ważnej prawdy dziś się dowie:

Że nie wszystko dostać można,
A płacz na to nie poradzi,
A upрек jest rzecz zdrożna.
I do celu nie prowadzi.

PODPORA MATCZYNA,

powieść z czasów dawniejszych.

OFIAROWANA WŁADYSŁOWI RATYŃSKIEMU.

przez M . . a.

(Dokończenie).

Stach nie mógł się powstrzymać, by nie uściskać dawnego przyjaciela. W puszczy serca ludzkie goręcej kochają; Stachowie nie umieli sobie wyobrazić już teraz życia bez sąsiedztwa Trzasków, tak ich zawsze nazywali.

Niewinność Barskiego dowiedziona została najzupełniej. Była to słynna w swoim czasie sprawa. Znalazła się natychmiast i posada korzystna dla zacnego, a tak ciężko pokrzywdzonego nauczyciela. Ale on za wszystko podziękował i nie odetchnął aż na Okrągłej łące, na ganku przed swoim dworkiem. O tej posadzie wiedzieli Stachowie i dla tego tak się lękali, aby ich sąsiedzi nie chcieli opuścić. Lękali się niepotrzebnie, Jan Trzaska ani myślał opuszczać puszczy, a Wład puszczak oświadczył, że gdziekolwiek już teraz żyćby nie potrafił. Jakoż żaden w istocie rodowity puszczak z pewnością nigdy nie kochał tak puszczy, jak Wład. Ojciec pytał go nawet, czy nie zechce wrócić do Warszawy, lub jechać gdzie dalej, aby się trochę obejrzeć po świecie i trochę uczyć. Ale wszelkie namowy próżne były. Wład zgadzał się tylko na jedną rzecz, na sprowadzenie książek i uczenie się, ale krokiem z puszczy odejść nie chciał. Ten brak ciekawości w młodym chłopcu dziwił wszystkich.

W kilka lat dopiero szczęśliwego życia na Okrągłej łące wydało się, co mianowicie oprócz samej puszczy przywiązywało do niej i do Okrągłej łąki strzelca Włada, króla puszczańskiej młodzieży. To coś, była to malutka Wandzia z niebieskimi oczkami, córka najstarsza Stachów, rokiem tylko młodsza od serdecznej przyjaciółki Stasi.

Gdy się ta tajemnica wydała, to jest, gdy Wład zwierzył się z nią matce, tedy postanowiono nie zasypiać gruszek w popiele.

Właśnie w szesnastą rocznicę urodzin Wandzi dumny nią ojciec Stach sam własnoręcznie pobilił białą jak śnieg swój dworek, a na wrotach i okienicach porobił duże białe centki, niby bukiety, tamecznym obyczajem, co znaczy, że w domu jest panna na wydaniu.

— Ho ho ho! — zawołał Jan Trzaska ze swego ganku, patrząc na tę robotę — a to wam się już swatów chce, sąsiedzie?

— A rozumie się! — odrzecz tamten, biorąc się w boki — od czegoż dziewczyna w chacie, a ruta pod oknem!

— Ha, kiedy tak, to przygotujcie tam kubek z miodem... — rzecze Trzaska z namysłem i wszedł do swego domu, a Stach popatrzył za nim zdziwiony.

Tegoż wieczora przybył do dworku Trzasków stary Pac, a dzieci jego i wnuki zdumiały się, że ojciec najprzód tam zajechał, i do swoich nie szedł. Był to wtorek, dzień uprzywilejowany u Kurpiów do rozpoczynania swatów. Stach niespokojny, dla czego ojciec nie przychodzi, już sam szedł do sąsiadów, gdy ujrzał staruszkę i strzelca Wła-

da, zmierzających ku jego dworkowi przez mostek. Ale dopiero gdy przy srebrnym blasku księżycowej pełni zbliżyli się do niego tak, że ich wspaniałe odświętne stroje zobaczył, dopiero wszystkiego się domyślił i odskoczył w tył z ganku swego do sieni, drzwi zatrzaskując a krzycząc na swoich:

— Hęj! zamykać tam wrota! swaty idą!

Takie są kurpiowskie zwyczaje. Poważny gospodarz, który przychodzi do domu rodziców panny z młodzianem, zowie się rajem, zapewne od słowa raić.

Raj tedy ze strzelcem Władem zaczęli pukać do drzwi i wrót białego dworku, prosząc pokornie o otworzenie i zaświecenie, ponieważ z wielką prośbą a ważną sprawą przychodzą. Otworzono gościnnie, goście rzekli „pochwalony“ raj miał piękną przemowę, w której prosił o podanie czarki z ręki dziewoi, która jest najpiękniejszą ozdobą tej uczciwej chaty. Rodzice zawołali na Wandzię. Ona, gościnna jak zawsze, ochoczno czarkę miodu podała a zaproszona przez dziadunia Paca, i sama od niego wzięła czarkę i wypila. Wtém uszczęśliwiony strzelec Wład, zamiast się przyzwolicie i poważnie zachować, jak w takim razie wypada, rzucił się na szyję Stachowi, dziękując mn, że go bierze za zięcia. Na to jakże nie krzyknie dopiero Wandzia, że ona nie domyślała się niczego i tylko przez gościnność czarkę z miodem podała, że ona nawet nie zna tych zwyczajów, i tak wołając, skoczyła Wandzia do drzwi uciekać... do przyjaciółki swęj Stasi oczywiście.

Strzelec Wład zadrzał z żalu i ręce w rozpaczę opuścił, bo w takim razie ucieczka dziewczyny znaczy, że chłopca swatanego nie chce. Wtém krzyknie Stach: a schwyć że ją i nie daj jęj uciec, bo po to ona ucieka, abyś ją dogonił!

Dopiero w strzelca Włada jakby duch wstąpił, chłopak skoczył, dziewczynę schwytał i do rodziców przyprowadził, sam nie wiedząc co myśleć, bo ona fartuszkciem twarz zakryła i mocno zdawała się płakać.

— Wstydź się, chłopcze! — krzyknął stary Pac — taki dzielny strzelec, król puszcackiej młodzieży, żeby też pozwalał tak drwić z siebie dziewczyninie! Czy nie widzisz, że ona aż się dusi, tak się z ciebie i twojego strachu wyśmiewa! Toż ty i ja sam nie lepiej od nięj znamy zwyczaje i obrzędy!

Tak ośmielony Wład dopiero pani Wandy o pomoc poprosiwszy, ręce i fartuszek od twarzy matęj Wandzi odjął, i zobaczył wprawdzie łzy, ale to z tego, że dziewczyna śmiała się z niego aż do łez. Wszyscy też śmiali się tak samo, a Trzaskowie zaraz przyszli i do śmiechu pomogli, gdy raj Pac, okno otworzywszy, strzelił na znak, że swaty przy-

jęto. Nastąpiła potém doskonała wieczerza i ochocze tany, jak zresztą często bywało, odkąd dzieci podrosły, Wandzia miała przecież rokiem starszego od siebie brata i kilku młodszych, a raj i dziaduś Pac doskonale grał na skrzypkach. Takie same swaty wedle zwyczaju nastąpiły we czwartek, a potém w sobotę. Rodzice uradzili przez ten czas wszystko, jak, co, i kiedy ma być, i wyznaczyli dzień na sute zrękowiny i zapoiny. Na tę uroczystość zjechali się sąsiedzi o dziesięć mil w około, hulano ogromnie i raj Pac uroczystie dopełnił ważnego aktu zrękowin. Potém miał mowę do dwojga młodych, w której między innemi tak się wyraził:

— Dla uczciwych ludzi, słowo dane jest tak samo ważne, jak sam ślub. Kiedy więc ciężkim trudem skleiliśmy przecież ten wasz związek, to pamiętajcież, iż jest w puszczy taki obyczaj, że jakby narzeczony słowo złamał, to go młodzież szkaluje i bije, gdzie spotka, tak że już mu więcej po świecie lepiej nie chodzić; a jak narzeczona słowo złamie, to młodzież się z nięj wyśmiewa i rozgłasza to jako hańbę, a taka zhańbiona panna już więcej męża nie dostanie. Od czego wszakże Pan Bóg was mam nadzieję ustrzeże. Amen!

Gdy w tęg mowie raj wspominał o swoich ciężkich trudach przy sklejeniu tego małżeństwa, wszyscy się śmieli, i on sam też, bo wiadomo było że się wcale trudzić nad tēm nie potrzebował.

Zapowiedzi wyszły i w cztery tygodnie był ślub. Przez te cztery tygodnie kobiety przygotowywały przyjęcie dla gości, bo wyprawę już dawniej przygotowano, mężczyźni zaś, a mianowicie pan-młody, strzelec Wład, budował trzeci dworek nad rzeczułką na Okrągłej łące. W dniu wyznaczonym zjechało się sąsiedztwo na dziesięć czy dwadzieścia mil w około tak, że wszystkie trzy dworki nie mogły gości pomieścić, bo to było przecież wesele strzelca Włada, króla puszcackiej młodzieży, kochanego i szanowanego przez wszystkich, młodych i starych. Sam ksiądz proboszcz, i ów doktor i owi panowie urzędnicy z miasta, przybyli tu teraz z własnej ochoty, aby szacunek i życzliwość swą Władowi okazać.

Szczęściem łąka była spora, a letnie dni i nocy przesliczne. Płonęły więc na łące ogromne stopy, przy których piekły się całe dziki, sarny, łosie i niedźwiedzie; szczupaki na roznach takie ogromne, jak tylko w rzekach w puszczy bywają. Była też i wielka moc wszelkiego ptactwa. Miód sycony stał w beczkach po całej łące, a w innych krupnik, pyszny kurpiowski napitek. Oczywiście niedostępna niegdyś Okrągła łąka już teraz małą drożyną łączyła się ze światem, chociaż i tak tylko

małe chłopskie wozy, mogły jeździć po tych wersepach.

Zajechały więc wozy, i starosta weselny stanął na czele, przestrzegając pilnie wszystkich zwyczajów, bo starostą był znowu stary Pac, dumny, że na weselu wnuczki z królem młodzieży jest starostą. Wysłano wóz kosztownymi niedźwiedziami futrami, jak przystało dla strzelca Włada, posadzono na nich narzeczonych, związano ich mocno razem słomianém powrósem, wedle obyczaju.

Panna młoda miała jedwabną spodniczkę, aksamitny gorset, złożone buciki, warkocz do stóp sięgający, przybrany czerwonymi wstęgami, i kosztowny, starożytny, po jakiejś praprababce Pacowej dyadem pamiątkowy z prawdziwych brylantów na głowie, zamiast obrządkowej korony ze świecideł. Na szyi i na wyszywanęj czerwono cienkień koszulce miała taką moc najpiękniejszych bursztynów, że aż błyszczała od nich, jak od złota. Na to wszystko starosta weselny chciał jeszcze koniecznie wdziać siwą sukmanę Włada, ale matka, pani Stachowa, nie pozwoliła ustroić tak swojej Wandzi do ślubu. Jednakże po długich sporach musiała ustąpić przez pół i pozwolić, aby na nią włożono tę sukmanę z powrotem od ślubu. Przy tych wszystkich sporach pan-młody Wład stał murem po stronie swojej świekry, pani Wandy Stachowej, ale pan starosta weselny, stary Pac, był przeciwnym, a za tradycją; tupał, gniewał się, i na swoim musiał postawić. Co do małej Wandzi, panny-młodej, ta siedziała cicho, jak myszka, usiłując udawać wielki smutek, wedle obrządku, a uśmiechając się, i do matki, i do ojca, i do dziada, i do Włada, i do Trzasków, i do gości, i do puszczy, a słońca samego, bo wesoło jej było na duszy.

Ksiądz proboszcz miał przy ślubie piękną mówę, w której krótko, lecz w sposób znaczący, wspomniał o obowiązkach rozmaitych, a między innymi i o obowiązkach dzieci względem rodziców, wspominając, że dzieci bywają prawdziwemi rodziców podporami, co jest najwyższym dla nich nad zaszczytami zaszczytem.

Wracając od ślubu, państwo młodzi zatrzymali się w przydrożnej gospodzie i częstowali podróżnemi zapasami wszystkich, kto się nawinął, panów, i żebraków, i własnych gości. Przyczem panna młoda zachowała się tak uprzejmie ale i poważnie na ten raz, że pan młody i jej matka nacieszyć się nie mogli widokiem tak rozumnego postępowania małej trzpiotki mężatki.

Takie zatrzymywania się w przydrożnych gospodach są konieczne u Kurpiów, a cel ich jest dwójaki: gościnność jak najszczersza, która sprowadza błogosławieństwo Boże na młode stadło, i pozostawienie jak najwięcej czasu przygotowującym

uczcie w domu. A w domu, to jest na Okrągłej łące, kręciła się tymczasem pani Trzaskowa Janowa, jakby miała lat ośmnaście. Sama jej synowa dziesięcioletnia nie była chyba zważszą od niej w tym dniu, tak od powrotu szczęścia odmłodziła pani Janowa. Pani Wanda Stachowa chciała podzielić trudy przygotowań z przyjaciółką, ale pani Trzaskowa rzekła.

— Daj ty pokój temu dzisiaj, ja się wszystkiem zajmę, a ty jedź z dziećmi do kościoła. Odwdzięczysz mi się, gdy mojej Stasi będzie wesele. Pani Stachowa przystała. Gdy tedy wrócono z kościoła, zastano długie przez całą łąkę stoły, nakryte już białe i zastawione leśnemi darami. Rozpoczęła się uczta, jaka tylko u królów dla ludu bywa, bo też Wład był królem młodzieży. Trwała do noc, przy gęstym strzelaniu na wiwat na wszystkie strony, w całej puszczy i u samego stołu. Puszczackie dziewczęta zdrowe mają nerwy, uśmiechały się przeto tylko, gdy narzeczony lub brat z obowiązku leśnej grzeczności niejako, palił jej tuż za uchem ze strzelby. Po uczcie rozpoczęły się tany przy hucznęj, sprowadzonej z okolicy muzyce. Przespawszy się nieco, weselne grono zasiadło do śniadania, potem rozpoczęło gry, gonitwy i wyścigi, nakoniec znów zasiadło do uczty, a później rozpoczęło znów tany. Takim porządkiem wesele Włada strzelca i Wandzi Pacówny trwało okrągły tydzień, jak do dziś dnia trwają kurpiowskie wesela zamożne.

Wszystko to niezmiernie się podobało Jasiovi, starszemu bratu małej Wandzi. Nazywał on się dla tego Jaś, że go do chrztu trzymał Jan Trzaskowski, tak samo, jak Stasia nazywała się Stasią, ponieważ do chrztu trzymał ją Stach Pac.

Otóż tedy tak się to wszystko Jasiovi podobało, że zamiast tańczyć z innymi, zaczął on chodzić za swoją matką i całować ją w nogi i w ręce, a coś jej szeptać do ucha. Ale pani Wanda zajęta była małą Wandzią, rozśmiała się więc tylko i kazała malcowi iść sobie, a nie przeszkadzać. Bo taka to już jest dola nieszczęśliwych młodych chłopaków, że chociaż starsi o rok od siostrzameżnych, przecież bywają uważani za malców.

Ale Jaś Pac był sobie także chwat puszczak, wychowaniec strzelca Włada, nie dał się więc tak łatwo z niczem odprawić, zwłaszcza zobaczywszy, że matka śmieje się zamiast gniewać. Widząc jednak, że jest w istocie zajęta, dał jej pokój, a zwierzył się ze swą tajemniczą prośbą przed panem młodym. Wład wystrzelił z dwóch strzelb z obu rąk na wiwat; bo ciągle na około tak strzelano i przedewszystkiem wtajemniczył w tę sprawę swoją żonę, małą Wandzię, a Wandzia, podskoczywszy z radości, pobiegła z bratem i z mężem do

dziadunia Paca, weselnego starosty i powiedziała mu na ucho prośbę brata Jasia, brat Jaś upadł do nóg dziadkowi, ten się roześmiał, i ostatniego dnia wesela Włada poszedł w nowe swaty do dworku Trzasków, prosząc o rękę Stasi dla Jasia Paca.

Nikt się tego nie spodziewał, oprócz jednego Włada może, było więc zdziwienia dosyć, ale koniec końców wszystkie poprzednie uroczystości, od pierwszych swatów poczynawszy, zaczęły się na nowo, aż Jaś zaślubił siostrę strzelca Włada, Stasię.

Cały ten pamiętny czas weselny, trwający prawie całe lato, ludzie nazwali weselem Władowém, ponieważ to Włada siostra szła za mąż przy jego własnym ożenku. W przedce czwarty dworek stanął na Okrągłej łące, a te dworki rozrosły się wkrótce w całą wieś. Mieszkańcy jęj spowinowaceni byli wszyscy ze sobą, a każdy z czasem dawał swym dzieciom za przykład siwego ale krzepkiego dziadusia całej wsi, Włada, który błogosławieństwo Boże ściągnął na całą okolicę znaną młodością swoją, w którą był podporą matczyną.

— Takimi bądźcie, a tak wam będzie, — mawiał sam ksiądz proboszcz do dzieci, ucząc je czwartego przykazania.

Wiadomości o wyprawie Rogozińskiego.

Opowiadaliśmy czytelnikom naszym, jak pan Szolc-Rogoziński, przetrwawszy szczęśliwie straszne burze na morzu, zawinął nakoniec do afrykańskich wybrzeży. Zanim jednak podróżnik zapuści się w głąb puszczy, z kąd już przez czas dłuższy żadna wieść o losach jego do nas nie dojdzie, przesyła on stale do pism warszawskich sprawozdanie ze wszystkich swoich czynności.

W Kwietniu gromadka podróżników zatrzymała się na tydzień w krainie Aszantów, w porcie Assini, gdzie jest handlowa osada, czyli faktorya francuzka. Zamieszkali tam kupcy trzudnią się wymianą różnych towarów europejskich na piasek złoty, dostarczany przez krajowców murzynów. Z Assini p. Rogoziński z kilku towarzyszami udał się w głąb kraju w odwiedziny do miejscowego króla Amatifu, do rezydencji jego Kindzabo. Podróżnicy zabrali z sobą różne dary dla afrykańskiego monarchy, a między innymi sporo zapas ulubionego jego nektaru, wódeczki.

Kindzabo jest to wieś dość rozległa, zabudowana domami z bambusu, pałac królewski ma parter murowany i piętro drewniane. Król przyjmował podróżników w tym pałacu z wielką uroczystością, otoczony ministrami i wysokimi urzędnikami swojego dworu. Zadowolony był bardzo

z podarunków, pozwolił gościom przebywać w swoim państwie i na znak przyjaźni wyprawił im wspaniałe widowisko z muzyką i tańcami, w których brała udział małżonka królewska. Narodowa muzyka murzyńska składa się z dźwięków przeraźliwych, z towarzyszeniem okropnych krzyków, za śpiewy uchodzących.

Mieszkańcy kraju Aszantów wyróżniają się od innych murzynów wysokim wzrostem i regularnymi, dość przyjemnymi rysami twarzy. Mężczyźni i kobiety, oprócz przepasek, noszą osłony z kolorowej tkaniny bawełnianej, wdzięcznie zarzucone na ramiona, a na rękach i nogach ozdobne bransolety z kości słoniowej i srebra. Żony królewskie odznaczają się ozdobami ze złota, nawet włosy mają upięte grzebieniami i szpilkami złotymi. Domy mieszkańców Kindzabo są czyste i porządnie utrzymane, miejscowość jednak nie jest zdrowa, ciągle tam panują febry i podróżnicy nasi nie uchronili się od tej choroby przez czas pobytu swego w stolicy króla Amatifu.

Po dwudniowych uroczystościach, wyprawianych na cześć białych gości przez króla i syna jego, następcę tronu, który mieszka w osobnym pałacu, podróżnicy powrócili do portu i udali się w dalszą drogę, wkrótce też stanęli u podnóża gór Kameruńskich, celu swjej wyprawy. Tu zrazu wszystko składało się jaknajpomyślniej. Łucya-Małgorzata, ów statek, który przetrwał tak gwałtowne nawałnice na oceanie, stał bezpiecznie na kotwicy w przystani, służąc już tylko do niedalekich wycieczek. P. Rogoziński upatrzył sobie małą wysepkę Mandaleh, blisko wybrzeża i postanowił urządzić na niej stacyą ze składem rozmaitych pożytecznych przedmiotów, któreby podróżnicy w każdej chwili zastać tam mogli. Zawarto umowę z władcą tej części kraju, Akemą i wyspa Mandaleh nabyta została, jako terytorium stacyi geograficznej europejskich podróżników.

„Miejsce to, jak pisze p. Rogoziński do Kurjera Warszawskiego, na 200 stóp wysokie i spokojne, nadaje się wybornie na obserwatorium meteorologiczne, a żyzna ziemia daje pewność utrzymania plantacji kakao, kawy, trzciny cukrowej, bananów, ignamów i kokosów, klimat wyspy niezmiernie jest zdrowy. Cała powierzchnia jęj wygląda jak wspaniały bukiet zielony, podnoszący się z wód oceanu. Otoczona jest prostopadłymi bazaltowymi skałami, w których bałwany morskie wyżłobiły liczne grotty. Tarasy podnoszące się ku górze tworzą naturalną platformę, jakby łączkę zieloną na wierzchołku, na niej wznoszą się malownicze skaliste utwory, pomiędzy którymi płynie strumyk, ukryty pod granitowymi kamykami i tworzący trzy źródła czystej wody. Wszystko

to pokryte jeszcze mrokiem lasu. Grunt wyspy wydaje już dziś najrozmaitsze pożyteczne rośliny, ignamy, (bulwy jadalne, do kartofli podobne) palmy kokosowe, banany, gojawy, mangu, cytryny i pomarańcze olbrzymich rozmiarów, pieprz afrykański, oprócz tego bawełnę i drzewa kauczukowe. Nie ulega wątpliwości, że tak, jak wszędzie w tych okolicach, dadzą się wybornie hodować kawa, kakao, trzcina cukrowa, ananasy, wanilla i tytuń."

Po zawarciu umowy z królem Akemą, p. Rogoziński wynajął swoją „Łucyą Małgorzatę" właścicielowi faktoryi hamburskiej, ponieważ nie była mu już na czas obecny potrzebną, sam zaś przedsiębrał różne bliższe wycieczki w głąb lądu, przed rozpoczęciem wielkiej swej wyprawy na odszukanie jezior Liba. Najpierw tedy wybrał się na bliższe zbadanie gór Kameruńskich i rzeki tegoż imienia.

„Pomiędzy górami, a brzegiem południowym zatoki Biafra, pisze podróżnik, ujrzelśmy olbrzymi zbiornik wód słodkich, jakby zatokę, z półśrodka której brzegów czasem nie widać—to ujście rzeki Kameruńskiej. Do tegoż samego ujścia wpadają jeszcze trzy inne rzeki, Mungo, Lungasi i Kwa-kwa, czyli Edea. Pierwsza wypływa z północy od gór Kameruńskich i zrasza zachodnie ich stoki, dwie zaś inne płyną ze stron dalekich, z owęj tajemniczój głębi, która nas czeka. Kto wie, może te wody płukały się w jeziorach Liba, gdyż dziś już nie wątpię, że te jeziora istnieją. Nie omyliłem się w przypuszczeniach, z początkiem pory suchej, po kilku miesiącach podróży, i was o tém przekonam.

Mylnie jednakże przypuszcza się zwykle, iż droga w głąb przez rzekę Kameruńską jest najlepsza. Smutnie rozczarowałby się podróżnik, przybywający tu z zamiarem puszczenia się po rzece. Nikt przez długie jeszcze lata nie dojdzie dalej nad Budinam lub Abo, miejscowości oddalone najwięcej o 65 mil od ujścia. Nie trudności przyrody stają na przeszkodzie dalszej podróży, ale ludność i król główny téj okolicy, imieniem Bel. Król ten, od lat pięćdziesięciu obcując z Europejczykami, jest i sam co do sposobu życia prawie Europejczykiem, ale też jednym z najchytrzejszych śmiertelników na świecie. Pojmuje on dobrze, że dozwole nie Europejczykom wejścia w głąb kraju po rzece ułatwiłoby im handel zamienny wprost z ludnością zamieszkałą w głębi lądu, kiedy teraz biali mają tylko prawo sprzedawać towary swoje ludziom króla Bela, a ci dopiero prowadzą handel z dalszymi mieszkańcami. Wszyscy więc królowie, z Belem na czele, obejmując panowanie, przysięgają, iż zachowają głów-

wny warunek dobrobytu poddanych, to jest, że nie wpuszczą żadnego białego w głąb kraju. Wszelkie przekonywania i upewnienia, że się nie przybywa w celach handlowych, są daremne, gdyż sprzeciwia się to przysiędze, która zapewnia Kameruńczykom monopol handlu."

Smutniejszy daleko jest list następny, pisany także do Kuryera Warszawskiego, datowany dnia 31 Maja. Donosi w nim nasz podróżnik co następuje:

„Dwa i pół tygodnia zaledwie minęło od chwili, gdy list poprzedni złożyłem w pogotowiu dla parowca, którego oczekujemy, a przypuszczać nawet nie możecie, ile nagłych przejść i nieszczyć zawarły te dni kilkanaście. Jestem głęboko przygnębiony tém, co przeszedłem.

Dnia 16 Maja, po kilku dniach spędzonych na rzece, przedsięwziąłem podróż ku góróm z dwoma doktorami, przybyłymi tu dla zbiorów zoologicznych, nazwiskiem dr. Passavant i dr. Retzer. Oprócz nas łódź mieściła czwartego pasażera, towarzysza naszej wyprawy, Ostaszewskiego. Reszta naszej gromadki udała się lądem na góry, ja powrócić musiałem na wyspę Mandaleh, ażeby odwieźć kilka skrzyń z przedmiotami, stanowiącemi zapłatę umówioną dla króla Akemy, zamierzałem też zająć się tam obserwacyami barometrycznymi podczas obserwacyi dra. Passavanta na górze, by mieć porównania. Szalupa niosła więc także liczne przyrządy, broń naszą, odzienie, zapasy żywności.

Około przylądka Bimbia powstał nagle straszny orkan zwrotnikowy, tornado, i przewrócił szalupę; morze pochłonęło wszystko, najdoskonalsze przyrządy, skrzynie dla Akemy, broń, lecz jakże strasznym był przegląd rozbitków! Dra Retzera nie było pomiędzy nimi. Mnie cud prawie zatrzymał w Bimbii, nie byłem w łodzi podczas katastrofy, gdyż w takim razie nie byłbym dziś już w stanie pisać tych słów. Długie po pas buty, które miałem na sobie, nie byłyby dozwoliły zwalczyć spienionych przez orkan bałwanów i dopłynąć do brzegu. Wyratowani dr. Passavant i Ostaszewski, po godzinnej walce ze śmiercią, czepiając się jakiegoś pływającego przedmiotu, półnieprzytomni wyrzuceni zostali na skały stromego brzegu, żką łódź ich zabrała wieczorem do Wiktoryi.

Lecz nie koniec na tém: gdy losy uderzają w człowieka, często pokilkakroć uderzają. Skutkiem przemoknięcia, męczyła mię od kilku dni febra i leżałem w Wiktoryi, w domku należącym do misyi, gdy d. 18 Maja przybyła tam „Łucya" z ładunkiem faktoryi. Dnia 19 wieczorem zerwał się nowy orkan i już zasypiałem prawie, gdy nagle doleciały do mnie głosy: „she has the anker

broken, she is lost" (ma kotwicę złamaną, jest zgubiona). Zapomniałem o febrze; zapomniałem o świecie, narzuciłem surdut na siebie, wypadłem, jak piorunem rażony. Czy o Łucyi mowa? — zapytałem.

— Tak — brzmiała odpowiedź.

okretem pozbawionym kotwic na skały nadbrzeżne.

Owój strasznej nocy przybyło mi z dziesięć lat życia. O 3-jej stało się! „Łucyą“, moją drogą, szybką, pocziwą „Łucyą“, co nas przewiozła tyśiące mil przez ocean, co odbyła z nami nie ma-



Ważna prawda (str. 612).

Posłano łódź na pomoc, orkan odbił ją, odpędził do brzegu. Upłynęło kilka godzin oczekiwania, a raczej męczarni Tantala, gdyż żaden czarny puścić się na morze nie odważał. Nagle piorun oświecił widnokrąg, widziałem, że nieszczęście nastąpić musi; orkan i fale przypląwu rzuciły

lój doniosłości podróży, rozbiły skały zatoki, które dziś noszą smutne miano „Lucy-Rocks“,

Wybaczenie roztargnienie, w którym piszę, jedenaście dni minęło od owych chwil ciernistych, a jeszcze nie widzę nic, tylko walący się okręt, nie słyszę nic innego, nad huk bałwanów i krzyk

walczących z falami murzynów załogi. Tak, ciężkie były dni ostatnie dla mnie. Okręt był to kaptal nasz zapasowy, dziś, za sprawą chwil kilku, wyprawa nasza znowu jest ubogą... Długo zapewne jeszcze będę w stanie bezsilności, w którym piszę, lecz trzeba będzie znów zebrać siły. Ubyło dostatku, trzeba podwoić energią. Bogu dzięki, że okręt był już wyladowany."

List następujący pisany był do redakcyi „Wędrowca“ z Fernando Po, pod datą 26 Czerwca.

„Przybyłem z wnętrza gór Kameruńskich dwa dni temu do Fernando Po, dla odebrania z poczty listów i dzienników. Ostatnią razą pisałem o nie-szczęściu, jakie nas spotkało. A teraz wiadomość nowa.

Widząc, że smutek po stracie „Lucyi“ owładnął mną na dobre, postanowiłem gwałtownie mu się wyrwać małą podróżą w głąb. Chciałem zwiedzić wschodnie podnóże gór Kameruńskich, przedostać się po rzece Mungo, którą przedemną widział jeden tylko biały, podróżnik Comber i to nie dalej, jak do miasta Malende; ja postanowiłem dotrzeć, jeśliby się udało, aż do Bakundu, do tak zwanych *elephant forest*, lasów słoniowych, o których dużo mówili mi krajowcy.

Otóż wszystko udało się. Rzeka Mungo, cudny, majestatyczny potok, zdjęta na mapie do Bakundu. Byłem pierwszym białym, który tak daleko na nią się przedostał. Pomiędzy ludnością czarną, od Malende do Bakundu, panowało wielkie zdziwienie; król Bel kameruński dotychczas bowiem strzegł i téj rzeki od białych. Wodzowie z wybrzeży, wstrzymywani zwykle przez Bela od styczności z białymi, przekonali się, że i Bel nie wszechwładny. Chcieli mnie koniecznie zatrzymać, sądzili, iż osiadę tam i będę z nimi handlował. Kilkakrotnie deputacye prosiły nas o białych, którym obiecują dać wszystko, czego zażądata.

Kraj to nadzwyczaj malowniczy. Płynąc po bystrzej rzece i spoglądając na brzegi góryste, zdawało mi się, że się znajduję w Saskiej Szwajcaryi. Miejscowość przytęm zdrowa i niezmiernie żyzna. Rzeka pokryta prawie całkowicie bawełną, która opada bez użytku i gnije. Uważam okolice rzeki Mungo za najpiękniejsze i najzdrowsze z całego terytorium kameruńskiego.

Miasto Bakundu leży o cztery mile od rzeki, nad jednem z jej ramion, na malowniczym wzgórzu. Liczne skały, strumyki, wąwozy, wszystko pokryte cudną roślinnością, tworzą jego okolice. Droga od rzeki do miasta prowadzi przez las, jest jednak wygodna. Olbrzymie stada słoni przerzedziły gęstwinię i wytworzyły w niej drogi. Słonie te jeszcze nie były strzelane, gdyż krajowcy nie znają palnej broni. W ogóle lasy tu nie gęste,

dzięki słoniom, których ilość jest niezmierna; często psują palisady miasta. Bakundu liczy od 2000 do 2500 mieszkańców, stanowi ważny punkt środkowy afrykańskiego wewnętrznego handlu. Karawany przychodzą tu z głębi lądu, z miejsc dla nas jeszcze tajemniczych, a o parę tygodni drogi odległych. Możecie sobie wystawić, z jakim zajęciem je witałem. Na widok białego panowała wielka radość i ciekawość. Tu klucz do wnętrza lądu!

Za kilka dni znów tam podążę, by dostać się na góry Rumby, tajemnicą pokryte. Widziałem je, są bardzo wysokie. Wkrótce muszę być na nich."

Szczegóły odwiedzin u króla Bakundu znajdujemy w liście, pisanyim tegoż samego dnia do Kuryera Warszawskiego.

„W odległości 87-u mil od brzegu dotarłem do wielkiej murzyńskiej metropolii Bakundu, w której tymczasowo stanąłem. Ludność witała mnie z wielką ciekawością i radością. Król Aneka ukazał się niezwłocznie, zapraszając mnie do siebie. Zabito kozę i kilka kurcząt—na ucztę... Następnego dnia przysły trzy deputacye, prosząc, by biali osiedli w Bakundu; wskazano mi miejsca, chciano dać robotników dla wycięcia lasu i wybudowania domu.

Miałem długą z tego powodu konferencyą z królem, która zakończyła się korzystnym dla mnie traktatem, następującej osnowy:

„Nie wszyscy biali lubią osiadać na miejscu. Wielu, większa nawet ich część przechodzi tylko przez różne miejscowości. Do ostatnich i ja należę. Ja potrzebuję 2—3 miesięcy aby przemaszerować przez Bakundu, i udać się dalej na wschód. Wielu królów afrykańskich zatrzymuje białych, gdyż nie chcą, aby inni mieli ich u siebie. Ale ci królowie nie mają rozumu, zapominają bowiem, iż ziemia ta afrykańska bardzo wielka, i że można udać się inną drogą do zamierzonego celu i inny król osiągnie zyski z białego podróżnika. Dla tego białym zatrzymywanie ich przez królów wydaje się, jak gra dzieci, niemądra. Ponieważ ja muszę koniecznie przebyć Bakundu, więc jeżeli król Aneka da mi ludzi i puści mnie, opowiem to wśród białych naczelników, rozgłoszę, iż król Bakundu jest człowiekiem wielce mądrym i inni będą się przez jego posiadłości kierowali. Może nie osiadą, lecz z pewnością będą przechodzili i król Aneka mieć musi z nich liczne korzyści. A cóż się stanie, jeżeli mnie zatrzyma? Będzie to niemądre, gdyż powiem, iż ziemia Bakundu zła, ludzie głupi i nic nowego nigdy nie zawita do Bakundu. Jeżeli zaś biali otrzymają swobodę przejścia w kraju, dziać się będzie dobrze“..

Król słuchał z uwagą tego prostego z chłopską rozmówania i w obecności mnóstwa swoich naczelników rzekł mi z radością, iż zrozumiał wszystko, co biały człowiek powiedział, i że dzień ten będzie dniem wielkiego dla Bakundu szczęścia. Odtąd każdy biały może wchodzić i wychodzić dokąd zechce, a jeśli zapotrzebuje tragarzy, król Bakundu da ich tyle, ile dni w miesiącu. Głównie zaś zawsze słuchać będzie rad moich.“

Krajowcy upewniali p. Rogozińskiego, że w lasach okolicznych żyją goryle, obiecał też podróżnik nasz sowitą nagrodę temu, kto zdobędzie to rzadkie zwierzę dla niego; w takim razie zamierza on przesłać szczątki goryla do którego z gabinetów zoologicznych naszego kraju.

Niema róży bez kolców.

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE

przez M...a.

(Scena przedstawia salonik wiejski, w którym powinno być dwoje drzwi; panna Anna i p. Zofia, dwie bogate przyjaciółki, sieroty, siedzą na kanapie przy sobie z robotkami w rękach; Anna żywawo szyje, Zofia znużona opuszcza robotę na kolana; rzecz dzieje się w domu Anny, mieszkającej z dawną swą nauczycielką, panią Sielską. Przysłowie to może być grane w trzy osoby, z których jedna powinna się szybko przebierać).

ZOFIA.

Każ zaprządz, Andziu! po cóż być tu dłużęj
Gdy pobyt na wsi wcale mi nie służy,
A was, pocziwi przyjaciele moi,
Choroba moja tylko niepokoi,
Każ zaprządz.

ANNA.

Jedziesz! przyjechałszy wczora?
Ty kapryśnica jesteś, a nie chora!

ZOFIA.

O nie! cierpienia czuję rzeczywiste,
Klimat łagodny i powietrze czyste
Może uleczyćby mię potrafiły,
Sztuka lekarska niema snadź tój siły,
Skoro wysła mię pod inne nieba,
Samęj poszukać, co zdrowiu potrzeba.

ANNA.

Gdzież więc pojedziesz?

ZOFIA *(namysławiając się)*.

Może... do Algieru.

ANNA *(zartując)*.

Lub do... Reykjavik! albo... do Benderul
Aż pojeździwszy lat jaki dziesiątek,
Stracisz naprawdę zdrowie i majątek;

Wtedy wróciwszy pod domową strzechę,
Przywiózłszy kilka papug na pociechę,
Będiesz żałować przez resztę żywota,
Żeś zmarnowała skarb zdrowia i złota.

ZOFIA *(zartując)*.

Czemuż, jak w bajce, czarnoksiężnik stary
Nie da mi widzieć złąd światów obszary?
Czemu mi ducha tych krajów nie zwabi,
Ducha Laponii, Japonii, Arabii,
Któryby szczerze opisał w godzinie,
I złe i dobre o swojej krainie;
Wtedy na pewnobył mogła wybierać.

ANNA.

Czemuż nie możesz tu żyć i umierać?

ZOFIA.

Bo tu jest zima długą i okrutną,
Bo tu żyć smutno i umierać smutno,
Bo tu powietrze się stało niezdrowe,
Odkąd wycięto bory stumilowe.

ANNA.

Gdzie się obrócisz, w jaką świata stronę,
Wszędzie zło jakieś znajdziesz wymarzone.

ZOFIA.

O nie! są przecież rozkoszne ustronia,
Gdzie wieczna wiosna wonne barwi błonia,
Wiecznie brzmi słówik w cieniu u strumyka...

ANNA *(przerzywając)*.

Zgoda! wybieraj: chcesz czarnoksiężnika?

ZOFIA *(ze śmiechem)*.

Co? a i owszem! może mię zabawi...

ANNA.

Natychmiast! *(wychodzi)*.

ZOFIA.

Co też ona tu wyprawi?

Prawda! wszak niegdyś na pensyi ta Anna
Słysnęła jako pomysłowa panna,
Gdy urządzano dramaty, obrazy;
Podobno nawet pisała dwa razy
Tragedye jakieś nad wyraz prześliczne;
Pewno i tutaj dwory okoliczne
Za literatkę ją mają przesławną.
Boże, jakżeto już się działo dawno!
Te pensyonarskie nudne dziecinady,
Choć niemniej nudne, co idzie w ich ślady.
Ciekawam, co też Anna pomysłowa,
W dowód, że świętą jest strzecha domowa,
Wymyśli sobie, i czém mię przekona.

Oho! ktoś idzie, zapewne już ona.

Cóż to znów będzie? jakiś potwór wlaży!

(W pierwszej chwili Zofia zrywa się przestraszona, ale zaraz siada na powrót, śmiejąc się sama z siebie. Drzwiami w głębi wsuwa się zwolna czarnoksiężnik w ogromnym, długim i szerokim płaszczu czarnym, w białe kabalistyczne gzygzaki, albo białym w czarne gzygzaki; na głowie czarnoksiężnik

ma bardzo wysoką czapkę, także czarną z białem, podobną z kształtu do głowy cukru; ma wielką brodę siwą i brwi, co go wszystko maskuje; w ręce trzyma laskę czarnoksiężką, także w białe i czarne figury).

CZARNOKSIĘŻNIK (*grubym i surowym głosem*).

Niewiaśto! duszę choroba ci kazi!

Ciało twe zdrowe! złe zaś ztąd powstało,

Że w ładnej głowie masz rozumu mało!

ZOFIA (*obrażona zrywa się z gniewem, tupiąc nogą*).

Choćby i wcale, to nie daje prawa,

By się w obrazę zmieniała zabawa!

Proszę zaprzęgać! (*po chwili*) Tym gniewem do-

Żem rzeczywiście niemądrą jest srodze (*siada*).

Czarnoksiężniku! ja nie chcę nauki!

Nie chcę morałów! chcę tylko twój sztuki!

Jeśli potrafisz mi stawić przed oczy

I złe i dobre krainy uroczej,

Do której jadę szukać lepszej doli,

Staw!

CZARNOKSIĘŻNIK.

Niechaj stanie się wedle twój woli!

(*Czarnoksiężnik zdejmując z siebie płaszcz, pod którym ma drugi taki sam, i zawiesza pierwszy w kształcie firanki na uchylonych drzwiach bocznych tak, aby z pomiędzy tych firanek mogły wysuwać się duchy*).

ZOFIA (*do siebie*).

A to co? ileż on ma szat na grzbiecie?

CZARNOKSIĘŻNIK.

Niewiaśto! dokąd jechać chcesz po świecie?

ZOFIA (*ze śmiechem*).

Do Chin, przypuścmy; dziś Paryż w Pekinie,

Spragnion nowości świat wielki tam płynie.

CZARNOKSIĘŻNIK (*wywijając laskę ku francje*)

Hokus pokus spiryantus!

Coelum terre gigantus!

Chiński duchu, ukaz się!

(*Z pomiędzy czarnoksiężkić firanki wybiega przedko drobnutkiem kroczeniem Chinka, w najwyższym jak można koku na głowie, na włosach w tył odczesanych; w sukni z przodu rozdartej, o bardzo szerokich rękawach; na jak najwyższych obcasach, żeby noga po chińsku była podobną do kopytka; w rękach trzyma dużą lalkę, uwinioną z lada czego, a udającą dziecko* *) które Chinka natrętnie podaje Zofii).

*) Znaną jest straszna niedza, która w przeludnionych miastach chińskich doprowadzała głodnych rodziców do topienia umierających z głodu dzieci. Obecnie zdarza się to mniej często, ponieważ misjonarze i zakonnie kupują takie dzieci dla wychowania ich w wierze chrześcijańskiej. Zarobek ten tak się podobał lubiącym handel Chińczykom, że często nawet nie zmuszeni głodem napastują cudzoziemców, ofiarując im dzieci na sprzedaż. (p. a.)

CHINKA (*goniąc uciekającą, przestraszoną Zofią*).

Kupuj, kupuj, cudzoziemko! to jest dziecko żywe,

[zdrowe,

Moje własne, sprzedam tanio, za pieniążki stare,

[nowe,

Czy francuzkie, czy angielskie, albo i za ryżu

[miarę,

Kupuj, nim mi zamrze głodem, kup na handel,

[sprzedam parkę!

ZOFIA (*ze wstrętem, broniąc się od dotknięcia*).

Precz! precz! maro obrzydliwa,

Nie chcę znać Chin! ach! straszliwa!

CZARNOKSIĘŻNIK (*podnosi laskę*).

Precz! (*Chinka ucieka drzwiami w głębi, zawsze prędko, zgłęta, i drobnym kroczeniem; Zofia pada na kanapkę, zakrywając oczy*).

CZARNOKSIĘŻNIK.

Gdzież jedziem szukać doli?

ZOFIA.

Chociaż żart to, jednak boli;

Handel, prawda, Chin jest duchem,

On też serce czyni głuchem;

Czémże będzie duch Algieru?...

Tam Arabi, co u steru

Sztuk, i nauk, i oświaty,

Stali niegdyś po przed laty?

CZARNOKSIĘŻNIK (*wywijając znów laskę ku francje*).

Hokus pokus spiryantus!

Coelum terre gigantus!

Arabii duchu stań!

(*z pomiędzy czarnoksiężkich firanek wychodzi zwolna w białe muśliny i zastony udrapowana Arabka tak, że jej zaledwo oczy widać; na wielkim zielonym liściu palmowym niesie ona sporo czegoś, co z wielkiem uszanowaniem podaje Zofii*)

CZARNOKSIĘŻNIK.

Duch ten niesie jakąś dań,

Narodowa to powinność,

Duch Arabii to gościnność!

ARABKA (*do Zofii, z powagą i z głębokim wschodnim pokłonem*).

To, czém najlepszem Bóg dobry nas darzy,

To, co Arabka i piecze i warzy,

Czém dziatwę żywi, gdy daktyli braknie,

Za czém wędrowiec w pustyni ułaknie,

Co bogacz jada, czém żyją ubogi,

Co gość spożywa, wchodząc w nasze progi,

Co nas wśród głodów przez życie wyniańcza,

Przyjm, cudzoziemko!...

ZOFIA (*cofając się*).

Co to jest?!

CZARNOKSIĘŻNIK (*poważnie*).

Szarańcza!

ZOFIA (*z krzykiem*).

Fe! obrzydliwość! już nie chcę Arabii!

CZARNOKSIEŻNIK (*podnosi łaskę*).

Preez! (*Arabka z wielką powagą wychodzi drzwiami w głębi*).

CZARNOKSIEŻNIK.

Może jedziem do Włoch, lub do Szwabii?

Gdzie grzmiały wulkany, gdzie ziemi trzęsienia?

Albo do Anglii, gdzie mgły, jak zaćmienia,

Dzień w noc zmieniają, choć w jasne południe?

ZOFIA.

Ja nie chcę Anglii! tam spliny, tam nudnie!

CZARNOKSIEŻNIK.

Lub do Szwajcaryi?

ZOFIA.

Szwajcaryi? a może!

Lud ten jest dobry, i cuda są Boże.

CZARNOKSIEŻNIK (*podnosi łaskę ku francie*).

Hokus pokus spiryantus!

Coelum terre gigantus!

Duchu ty szwajcarskich gór,

Tutaj zstąp z pomiędzy chmur!

(*Z pomiędzy franek wychodzi ładnie ubrana Szwajcareczka z wiązką róż, które podaje Zofii z ukłonem*).

SZWAJCARKA.

Przybądź do nas, piękna pani,

Wszystkie serca tobie w dani,

Wszystkie kwiaty damy chętnie;

U nas pięknie i odświegnie;

Śnieg na szczytach, a podnoże

Gór mych cudnych wieńczę róże;

Przybądź, kap się w jezior niebie,

Nim... lawina cię pogrzebie...

ZOFIA (*z krzykiem*).

Lawina? nie chcę, już, nie chcę Szwajcaryi!

CZARNOKSIEŻNIK.

Może chcesz Indyi? i węży, i paryi?

Bo jak bez kolca nie wynajdziesz róży,

(*wskazuje róże*).

Tak wśród najdłuższych, najdalszych podróży,

Nie znajdziesz kraju, gdzieby przykość jaka

Nie odstręczyła przelotnego ptaka;

Ale gdziekolwiek osiedlisz się stale,

Gdziebądź przeżyjesz radości i żale,

Gdzie się nauczysz czas cenić i ludzi,

Tam cię ból minie i życie nie strudzi!

ZOFIA (*do Szwajcarki*).

To już zostanę tu, kędym zrodzona!

Krótko tu wiosna i prędko kwiat kona,

Ale i podróż bez celu znów nudzi,

Więc mię nauczcie czas cenić i ludzi,

Ty i ta pani co czarnej aż sztuki

Chwyta się, aby mi dawać nauki.

(*Ściska panią Sielską, która zdejmując czarno-księżkie ubranie*).

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

Dalszy ciąg.

LVIII.

Zabiera się swoje własność, gdzie się znajdzie.

Nazajutrz po śniadaniu wybrano się w drogę na odszukanie zguby. Nie łatwo było namówić Williama, aby rozdzielił się choćby chwilowo z ukochanymi swymi girafami. Towarzysze zwracali jego uwagę na porozrzucane po ziemi paki i pakunki kości słoniowej, amunicyi, i t. d. które trzeba było porzucić, nie mogąc ich przewieźć. Zaginione zwierzęta były więc konieczne potrzebne, a przynajmniej godziło się popróbować ich odzyskania.

William przystał nareszcie, ciężko wdychając, i pojechało, zostawiając na straży obozu Hansa, Konga i dwóch Makalolosów.

Przypuszczając, że złodzieje muszą zamieszkiwać wybrzeża, udano się najpierw w dół rzeki, przy której obozowano.

Przez ciąg pierwszych pięciu mil, nie ujrano ani śladu wołów lub koni. Ale też grunt był tak twardy, że chociażby go i stratowano, trudno było ślady odróżnić, zwłaszcza po niedawnej burzy.

Gromadka przybyła wkrótce do miejsca, w którym brzeg był niski i błotnisty. Przyglądając się uważnie, dostrzegli tam odciski kopyt mnóstwa zwierząt, przybyłych zapewne do wody. Wśród innych, odróżniono też ślady kopyt koni i wołów. Poszukiwania były zatem na dobrej drodze. O trzy mile dalej napotkano wioskę dzikich, złożoną z jakich czterdziestu chat. Za zbliżeniem się przybyszów, przybiegło do nich kilku krajowców z krzykiem i wielkiem rąk machaniem. Na ich gwałtowne pytania, Facetan odpowiedział, że przybywa z białymi myśliwymi, poszukującymi swoich koni i wołów.

Jeden dziki, wysoki, nagi, i uzbrojony jedynie ogromnym parasolem z piór strusich, wypowiedział mowę w imieniu swych współziomków. Oświadczył, że wie, co są woły, i widział nieraz takie zwierzęta, ale wcale nie w tych czasach. Co do koni, tych nigdy nie widział, i nie wie, co by to mogły być za stworzenia.

Dziki ten kłamał wierutnie, nie spostrzegłszy, że naokoło niego na ziemi, świeżym deszczem rozmiękczonej, było mnóstwo śladów kopyt. Te dowody kłamstwa uderzyły od razu bystrych myśliwych. Ślady były tak świeże, że musiały być odcisnięte nie dawniej, jak przed godziną.

Niepodobna też było przypuścić, aby zwierzęta te przeszły tędy niewidziane przez krajowców i ich wymownego wodza.

Przerwawszy tedy wspaniałą mowę jego, myśliwi poszli do wioski. Pierwszy przedmiot, który zwrócił ich uwagę, była to krwią jeszcze ociekająca skóra wołowa, zawieszona przed jedną z chat. Facetan natychmiast zaręczył, że to jest skóra jednego z wołów powierzonych niegdyś jego własnej pieczy. Makalolosy potwierdzili jego zdanie stanowczo.

Żaden z obecnych krajowców nie umiał wyjaśnić, zkąd się wzięła ta skóra. Nikt jęj poprzednio nie widział. Oslupieli na jęj widok.

Za wioską przedłużała się równina ku północy. Myśliwi spostrzegli tam w oddaleniu gromadę jakąś, bardzo podobną do stada zwierząt i pomyśleli, że mogły to być ich własne. Nie mylili się. Były to ich własne skradzione konie i woły, których teraz pilnowały dzikie kobiety, a te poczęły uciekać na widok Williama i Henryka, przybawających galopem. Uciekały gwałtownym, szalonym biegiem, z tak rozpaczliwym wrzaskiem, jakby sądziły, że będą rozsiekane na miejscu w razie dognania. Ale myśliwi nazbyt byli zadowoleni, odnalazłszy swą własność, i ani im się śniło o dokuczaniu biednym bezbronnym kobietom. Mimo to przecież stali się mimowolnie przyczyną śmierci jednej z nich.

Zatrzymawszy się nagle, jedna z tych kobiet zachwiała się i padła. Zbliżywszy się do niej, jeźdźcy zeskoczyli z koni, aby zobaczyć, co jęj się stało. Leżała na wznak, z oczyma szeroko rozwartemi, z tym martwym, szklistym wyrazem, który znamionuje śmierć. Henryk dotknął jęj serca: już nie biło. I oddech ustał. Biedne stworzenie skonało ze strachu, jakby od uderzenia piorunu. Przy niej leżało dziecię kilkomiesięczne zaledwie, które jednak już nieufnie spoglądało na Henryka. Wyraz oczu tego maleństwa potwierdzał spostrzeżenie, uczynione przez wielu podróżników, że dzieci krajowców afrykańskich rozwijają się nadzwyczaj szybko, prawie, jak małe zwierzątka.

Inne kobiety uciekły i znikły, nie słysząc, czy też nie chcąc słyszeć przyjaznych nawoływań myśliwych. Henryk stał nad owém maleństwem, nie mogąc przenieść na siebie, aby je opuścić.

— Ta biedna umarła ze strachu, jakiegośmy ją nabawili. Cóż uczynimy z tém dziecięciem? Opuścić je tutaj, byłoby czynem nazbyt niehumanym.

— Doprawdy, nieszczęśliwa to sprawa — mruknął William, patrząc na kobietę. — Dzicy gotowi pomyśleć, żeśmy umyślnie ją zabili i powezmą ztąd o białych ludziach wyobrażenie niekorzystne,

jakiego mieć nie powinni. Odnieśmy to biedactwo do wioski i opowiedzmy, jakim sposobem zginęła jego matka. Daj mi tego berbecia.

Henryk posłuchał, ale dziecko zaczęło krzyczeć wrzaskliwie, gdy je odejmował od matki. A nawet, nie poprzestając na krzykach, usiłowało jak tygrysiątko gryźć i drapać. Było ono gwałtowniejsze nawet od starych Beczuanów, którzy w ogóle są dość tchórzliwi i niechętnie się biorą do kroków zaczepnych. Wszystko to przecież na nic się nie zdało. William z zimną krwią sobie właściwą chwycił pod pachę murzyniátko wrzeszczące, wskoczył na koń i przy pomocy towarzyszy spędził w pół godziny do gromady wszystkie zwierzęta. Brakło jednego tylko, tego, którego skórę widziano.

Murzyniátko oddane zostało do rąk wodza, a Facetan wytłómaczył mu, w jakich je okolicznościach znaleziono. Następnie, wedle rozkazu Williama, Buszman radził po przyjacielsku Beczuanom, aby nigdy więcej nie pożąдали cudzej własności.

Ku wielkiemu zdziwieniu myśliwych, wódz i starsi pokolenia wypierali się, nie tylko kradzieży wołów i koni, ale nawet wszelkiej wiadomości o nich i o kobietach ich strzegących. A tymczasem Makalolosy wskazywali sprawców kradzieży między najgorliwszymi tymi mówcami.

Aby raz z tém skończyć i nie słuchać więcej przeraźliwych wrzasków, młodzi myśliwi ruszyli coprędzej w drogę, pędząc przed sobą odzyskane woły i konie. Henryk i Arend mieli ochotę ukarać murzynów, nie tylko za kradzież, ale i za stratę czasu i kłopoty, jakich byli przyczyną. William nie pozwolił na to; zacne jego serce nie widziało różnicy pomiędzy murzynem, który kradnie, a ptakiem, który zbiera robaczki z ziemi.

— Biedni ci ludzie — rzekł — nie więcej wiedzą od ptaków o tém, co się godzi, a co nie. Nikt ich nie nauczył zasad uczciwości. Niechże nasze postępowanie będzie dla nich wzorem.

LIX.

Polowanie na lwa.

I otóż młodzi miłośnicy przygód wybrali się już teraz na dobre w podróż z powrotem do Graaf Reineta. Przeciwnie wszelkim obawom, młode girafy bardzo mało im przyczyniały kłopotu. Prostym rzeźmiem, przywiązany do szyi każdej z nich, dostatecznym był do ich prowadzenia. Doświadczenie przekonało je o wyższości człowieka, i poddały mu się zupełnie; po kilku godzinach podróży, były już tak uległe, że możeby nie uciekły nawet, gdyby nie były na uwięzi. Tak samo,

jak słonie przyswojone, nie czuły one własnej siły, ani chyżości. Bardzo prędko dały się nakłonić do zupełnej uległości. Kilka dni podróży ubiegło bez żadnego wypadku, ku wielkiej radości myśliwych. Nie pragnęli już nic więcej teraz, gdy posiadali to, poco z tak daleka przybyli. Nawet zapalony myśliwiec William nie miał już ochoty odwrócić się, dla upolowania choćby najpiękniejszej pod słońcem antylopy, wyjąwszy, gdy trzeba było mięsa dostarczyć na żywność dla podróżnej gromadki.

Po dwóch tygodniach podróży, Facetan ujrzał się nagle pomiędzy ziomkami swymi, Buszmanami. Była to właśnie okolica, którą on pragnął zwiedzić od dawna. Nie dla tego, aby go tam ciągnęły jakie młodzieńcze wspomnienia, ale jedynie z powodu tego przywiązania do rodzinnej ziemi, jakie się w każdym sercu ludzkim jakiegobądź narodowości odzywa. Facetan opowiadał nieraz swym panom o ziomkach swoich, jako o ludziach prawych, gościnnych i walecznych, to jest najzupełniej niepodobnych do ziomków jego osobistego nieprzyjaciela Konga.

Okolice ta była ludna, snuło się po niej mnóstwo pokoleń buszmańskich, można więc było łatwo sprawdzić opowieści Facetana.

Jednego popołudnia spotkano osadę Buszmanów, złożoną z około pięćdziesięciu rodzin. Dowiedziawszy się, że zdaleko iść jeszcze wypadało do miejsca odpowiedniego na spoczynek, postanowiono zanoć w wiosce. Gościnność wychwalana przez Facetana objawiła się najprzód ogólnem żądaniem tytoniu, wódki, odzieży i t. p. za co osada wspomniałomyślnie pozwalała podróżnym... czerpać wodę z pobliskiego jeziora.

W nocy lew porwał konia, należącego do wódza pokolenia, rano zatem wyprawił wódz dwóch krajowców na wyszukanie i ukaranie lwa.

Myśliwi często słyszeli o sposobie, jakim Buszmani zabijają lwy, chcieli teraz widzieć to polowanie; pozwolono im towarzyszyć owym dwóm posłańcom. Buszmani wychodzili przeciw królowi zwierząt uzbrojeni tylko w małe łuki i zatrute strzały; mieli także skórę bawołu ze sobą. Droga, którą uszedł lew, dochodziła do lasu o milę oddalonego od osady. Nasi młodzi śmiałkowie szli z Buszmanami, chcąc się dowiedzieć, jak można zabić lwa tak małemi strzałkami, i jak krajowcy potrafią zbliżyć się dostatecznie do zwierza, aby go trafić taką strzałą.

Jak się tego spodziewali krajowcy, lew nasycony spał głęboko. Podeszli z cicha tak blisko, że prawie dotknąć go mogli. Widzowie zeskoczyli z koni, nabili broń i poszli zdaleka za Buszmanami, podziwiając ich odwagę. Jeden murzyn na-

ciągnął łuk, drugi rozwinął skórę bawoła i stanął, trzymając ją rozciągniętą o kilka kroków przed swym towarzyszem. Myśliwi niespokojnie śledzili ich ruchy, wstrzymując oddech. Dość było sekundy czasu, aby lew skoczył i rozdarł odrazu swych przeciwników.

(d. c. n.).

ROZMAITOŚCI.

Dnia 8 Września r. b. odbyła się w Krakowie piękna i rzadka uroczystość kcronacyi obrazu Matki Boskiej w kościele ks. Karmelitów na Piaskach.

W pierwszej połowie XVIII wieku pewien pobożny pan włoski, Aleksander Sforza Pallavicini, ustanowił fundusz wieczysty na zakupywanie przez kapitułę watykańską kosztownych koron dla przyozdobienia obrazów Najświętszej Panny, słynących łaskami, nie tylko we Włoszech, lecz w całym świecie chrześcijańskim.

Naród nasz zawsze odznaczał się szczególnem nabożeństwem do Matki Bożej, nieraz też wypraszał takie poświęcone korony dla kościołów polskich. Koronacja podobna odbywała się w r. 1717 na Jasnej górze, a potem w wielu innych świątyniach naszego kraju.

A teraz wspomnimy jeszcze słówko o początkach kościoła ks. Karmelitów w Krakowie. Według starożytniej legendy, Władysław Herman na tém miejscu odzyskał zdrowie za przyczyną Najświętszej Panny, która mu się we śnie ukazała, polecając, aby przyłożył na rany biały piasek, znajdujący się pod kępkami fiołków. Wdzięczny za doznaną łaskę król, założyć miał pierwsze podwaliny świątyni, która dotąd nosi starodawne miano *na Piaskach*. Budowę tę ukończył jednak dopiero Władysław Jagiełło, później zasiedlili się w niej zakonnicy z góry Karmelu. W tym to właśnie kościele znajduje się owa stopka królowej Jadwigi, o której wspominaliśmy dawniej, opisując obraz p. Andrzejkowiczówny.

O wizerunku Matki Boskiej, który obecnie był koronowany, jest także pobożne podanie, że go wymalował jeden z zakonników na murze zewnętrzny; obraz ten szeroko zasłynął cudami. Z ofiar licznych pielgrzymów, którzy go nawiedzali, pobudowano oddzielną kaplicę, zawieszoną bogatemi wotami i ozdobami. Jaśnieje w pośród nich posążek złoty, dar królowej Anny, która tu wyprosiła zdrowie dla syna, Władysława IV, ciężką niemocą dotkniętego w dzieciństwie. W czasie napadu Szwedów w r. 1655 ko-

ścioł na Piaskach był całkowicie zburzony, ale ściany kaplicy pozostały nietknięte i obraz wydobyto z pod gruzów w całości.

Wkrótce świątynię odbudowano, zawsze też otaczano ją czcią szczególną. Jakób Sobieski, wojewoda ruski, wyprawiając synów do Krakowa na nauki, zalecał im, aby uczęszczali do kościoła na Piaskach, a Jan III, idąc pod Wiedeń, nie zaniedbał wezwać tu opieki Matki Bożej.

W r. 1764 ks. Karmelici uprosili u stolicy apostolskiej koronacją cudownego obrazu, ale różne wypadki stawały aż dotąd na przeszkodzie spełnieniu tego obrzędu. Dopiero w roku bieżącym przeor ks. Karmelitów wyjednał u Ojca Ś-go potwierdzenie dawnego dekretu i koronacja odbyła się, jak wspomnieliśmy, 8 Września, z wielką uroczystością.

Korony złote sprawiono ze składek publicznych, staraniem ks. Przeora Kaczkowskiego, według rysunku mistrza Matejki i wykonano w Krakowie. Korona Matki Boskiej z lilij, szczerozłota, szmaragdami nasadzona, łuki zaś czyli obręcze zdobne są w srebrne główki serafinów, wierzch korony z aksamitu amarantowego zdobią cztery duże gwiazdy brylantowe, podtrzymywane przez cztery figurki aniołków ze srebra oksydowanego, oparte na dyademie pomiędzy kielichami lilij. Na globie korony, zrobionym z lapis lazuli, zatknięty jest krzyż złoty z brylantami. Mniejsza daleko korona Dzieciątka Jezus ma na podstawie, czyli dyademie, postać gołąbka, wyobrażającą Ducha Ś-go, gołąbek trzyma Oko Opatrzności. Korona ta przedstawia zatem symbol Trójcy Ś-tój. Pięć gwiazd złotych z brylantami, tworząc zaokrąglone korony, oznacza pięć ran promienistych.

Przybył umyślnie z Rzymu na obrzęd ten generał zakonu Karmelitów, ksiądz Anioł Savini, zgromadziło się też ludu pobożnego około 60,000. Obchód rozpoczął się d. 2. Września procesją, przy której przeniesiono koronę z pałacu biskupiego do kościoła w asystencji dziesięciu biskupów. W sam dzień Narodzenia Matki Boskiej liczne duchowieństwo, przy współudziale wielu biskupów i innych dostojników kościoła, zebrało się w kościele na Piaskach. Obrządku koronacji dopełnił ks. biskup krakowski Dunajewski, który też udzielił wiernym błogosławieństwa apostolskiego. Odgłosy dzwonów kilkudziesięciu kościołów krakowskich towarzyszyły obrzędowi, a wieczorem miasto rześisto było uiluminowane.

SZARADA (Rózia D.).

Pierwsza — czwarta: różna bywa,
Skromna, miła, lub złośliwa —
A jawi się, jak się zdarzy:
W oczach, ustach, lub na twarzy,
Albo też w całej postaci,
U siostrzyczek, i u braci —

Trzecią — drugą: w jednym słowie
Złego ducha lud nasz zowie —

Tych słów dwoje składa trzecie,
Imię nadane kobiecie.

Łamigłówka zgłoskowa.

(A. z Czusowa).

Z następujących zgłosek: bło—ce—cen—den
—e—el—fryc—i—i—ja—ka—ka—łu—no—non
—now—o—ów—rop—ski—ski—siedl—sy—strut
ty—un—za—ze—zma — ułożyć 12 wyrazów:

1. Hetman z czasów Sobieskiego. 2. Zaimiek.
3. Zasłużony założyciel biblioteki. 4. Kraina szczęśliwości. 5. Zartobliwa nazwa niedoświadczonego. 6. Miasto w królestwie polskiem. 7. Filozof starożytny. 8. Rzeka wpadająca do Elby. 9. Imię papieża. 10. Ciecz słodka. 11. Roślina, dająca smaczny pokarm. 12. Imię biblijne. Pierwsze i ostatnie litery, od góry do dołu odczytane, utworzą imię i nazwisko sławnego historyka, połączone spójnikiem z imieniem i nazwiskiem poety.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 35-go.

Łamigłówki głoskowej:

Natura wilka ciągnie do lasu.

Łamigłówki kryształowej:

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | | P | | | | |
| | | | R | Y | K | | |
| | | M | A | T | K | A | |
| | G | I | G | A | N | T | Y |
| P | Y | T | A | G | O | R | A |
| | M | A | H | O | M | E | T |
| | | C | Y | R | C | E | |
| | | | L | A | K | | |
| | | | | | S | | |